

Gorączka zaledwie w granicach normy

PREMIERA

Gdyńska inscenizacja kultowego filmu sprzed lat nie porywa. Trudno zresztą, by było inaczej, skoro powstał spektakl jedynie poprawny.

Kiedy wychodziłem z Teatru Muzycznego w Gdyni po „Gorączce sobotniej nocy” zaadaptowanej przez Roberta Stigwoda, nuciłem nie hity zespołu Bee Gees, które słyszałem na scenie w przekładzie Daniela Wyszogrodzkiego, lecz utwór Wojciecha Młynarskiego „Ogrzej mnie”. Słowa „Memu cię wystarczy 36 i 6, mojej duszy potrzeba znacznie więcej” brzmiały jak diagnoza spektaklu. A następne zaś: „Błada kuzynko, Melpomeno, jedną zagraną dobrze sceną rozpal, rozpal mnie” były jak prośba do reżysera i aktorów. A tu nic. Zupełnie nic.

„Gorączka sobotniej nocy” to żadna tam gorączka, raczej totalne wyziębienie. Siedzę na



TEATR MUZYCZNY W GDYNI

♦ Krzysztof Wojciechowski i Maja Gadzińska

najlepszym z możliwych miejsc i patrzę, jak na scenie „kombinują, badają czy pies to, czy to bies, a mej duszy radości ciągle brak”.

To już ostatni cytat z Młynarskiego, a teraz proza życia. Tytuł „Gorączka sobotniej nocy” z pewnością będzie magnesem dla widzów, bo to

inscenizacja słynnego filmu muzycznego, z końca lat 70., jednego z tych, które zna cały świat. Historia 19-latka Tony’ego Manero, który uwielbia tańczyć, a jednocześnie doświadcza kryzysu związanego z wchodzeniem w dorosłość, to historia buntu, który przeżywa wielu młodych ludzi.

Tony ma świadomość, że porusza się na krawędzi dwóch światów. Tego prozaicznego, codziennej pracy w sklepie z farbami, ustawicznych konfliktów z rodziną. To świat pozornych wartości, w którym nie ma miejsca na miłość, najwyżej na szybki seks, alkohol i narkotyki. I jest świat tańca, który daje ukojenie i dla Tony’ego Manero staje się pasją i filozofią życia.

Opowieść usytuowana w latach 70. była oczywiście świadectwem swojej epoki, ale dziś przypomniana mogłaby stać się czymś znacznie ważniejszym niż sentymentalną powtórką z rozrywki.

W Gdyni tak nie jest. Powstał spektakl zaledwie poprawny, który bardziej nuży niż porywa. Filmowa postać Tony’ego Manero była trampoliną do kariery dla Johna Travolty. Nic nie wskazuje na to, by stało się tak w przypadku Krzysztofa Wojciechowskiego. W jego bohaterze nie było ani

krztyny buntownika, króla parkietu, który budził sprzeciw i podziw jednocześnie.

Reżyserowi Tomaszowi Dutkiewiczowi, twórcy udanych spektakli muzycznych, tym razem nie udało się wyjść poza poprawność. Podobnie było też niestety z innymi realizatorami i wykonawcami. Aż chciało się obejrzeć rodzaj pastiszu, z przerysowanymi fryzurami, kostiumami, i gorącymi rytmami a wszystko było nijakie, letnie. Zabrakło twórczego szaleństwa, które porwałoby publiczność. Po imponujących konstrukcjach najbardziej rozchwytywanego dziś scenografa Wojciecha Stefaniaka błakał się tłum bezbarwnych postaci. Miała być gorączka sobotniej nocy, a był niespełniony sen nocy zaledwie letniej. ©

—Jan Bończa-Szabłowski



Więcej zdjęć
z „Gorączki sobotniej nocy”

rp.pl/kultura